Cena 25 groszy

Organ Zrzeszenia Młodzieży Szkół Średnich w Nowym Sączu

Rok IV. Nowy Sącz, dnia 20 maja 1936 r. Nr. 21.

Genezis Wodza Narodu.

Miłość rodzi szaleństwo, czynem się pieni!

Patrzcie w burze ducha tytanów wieku dziewiętnastego, patrzcie w trzy potężne postaci, które, niby posągi z łez i krwi, wyrastały czołem marmurowem, czołem myśli i dusz, czołem czuć i potępień, czołem rozpaczy i spokoju!

Wzbierała fala nieszczęść, wzbierały bałwany krzywdy miljonów, chwiały się strzępem splamionym przeżartych przemocą narodów, trzema czarnemi orłami znaczonych!

Wezbrała fala serc ludzkich, topiła rozsądek w płomieniach gorejącej żądzy wolności. A na fali cienie się kładły, cienie fontanną tryskały, w trzy kowane postumenty wystrzeliły!

A jeden posąg był z bronzu. Rysy, nieludzką miarą rzeźbione, wiały szlachetnością; włos siwy na wietrze się rozwiewał, zmarszczka na czole orłowa cięła kompromis, cięła układy, cięła porozumienia. I tylko oczy żywym blaskiem jaśniały, do djamentów podobne — nie — do rubinów raczej! Kiedy zalśniły łzą, taka moc się rozwiała, taki Duch się uniósł, że głaz, który drogę mu zagradzał, rysował się i pękał!

I drugi posąg widziałem. Lecz ten był mgławicą, mgławicą światy rodzącą. Harfa rozbita u stóp mu leżała, po barkach ślizgały się węże. Oczy czarne gorzały natchnieniem, paliły namiętnością. Wiał smutek ludzkości z szat zielonogłębnych, przenikał wszystko, wszystko rozżalał. Na Termopilach oczy zasłonił, pod Cheroneją czołem w ziemię godził. Anhelli złoty zstąpił z nieba, skrzydłami objął mgławicę — buchnęła! — schody do nieba rodziła i kolumnady!

A trzeci posąg zdał mi się Laokoonem w objęciach konania. Ból w twarzy — lecz twarz kamienna, żyły na skroniach, mięśnie napięte — lecz nieruchome, oczy rozpaczne w jedne wpijały się szczyty. I szły posągi, w kolumny świątyni bazaltem korynckim się rzeźbiły, podstawę rodziły dla ducha narodowych uczuć!

A synowie ich: KONRAD, KORDJAN, IRYDJON!!!

Patrzcie: Jeden człowiek w ręku swym tysiąc piastuje dźwięków! Jeden człowiek samotny, kratami skuty, na trony Boga rękę bluźnierczą podnosi! Jeden człowiek Narodem się mieni! Szatańskie moce o duszę tę szaleńczy bój wiodą! Piekła całe siłę swą w wysiłek Syzyfa rzucają! Trzy promienie strzelają mu z czoła — mózg myśl tęczowa drąży: Czterdzieści i Cztery!

Patrzcie! — idzie z bagnetem podchorąży cara zabijać! W okno spojrzał: tam tysiąc trupów z otwartych wrót kościoła się leje! Tysiące trumien pod okno się spiętrza — widmo gromnicą szyby pali! W sali tronowej szatan w dłoni koronę zbryzganą trzyma! Już — próg! Strach i Przywidzenie przystępu bronią,

ściany to zielonem, to fioletowem mienią się światełkiem... Jeszcze krok — w piersi ciemięzcy bagnet się utopi!... Dzwony... Dzwony sztyletem w mózg się topią!... Jezus, Maryja! —

W dali Rzymu kolumnady: Na górze szatan stoi i Irydjon. I na nic ojców dziejowa nienawiść w rękach Wiktora skruszyła się zguba Rzymu. Wieczne to miasto, rakiem rozpusty przeżarte, zbrodnią skalane, zdradą pyszne — żyje! O Boże! — za zgubę jego, duszę dam ci, Masynisso!

Nie! — Idź na Północ, Amfilochidesie! Tam łez i krwi stolica! Pokolenie to zawcześnie cię wydało!

Ojcowie płomiennoskronni!

Synowie tronowalący!

Nie wasz to wiek! Przyszliście o wieniec pereł lat — zawcześnie! Niech myśli, czucia wasze zarzewiem po latach się zrodzą. Niech pierś niewiasty tumem gotyckim się stanie, tumem marzeń o czynie, tumem czynów wyśnionych:

Niech wasze duchy jednem staną się ogniwem w łańcuchu wszechludzkiej miłości. Niech będą jedno, niech jedno zrodzą: wolną Ojczyznę.

I rzekł Pan: — Iżeście lat tyle ni piędzi myśli sobie nie dali, żeście nie ludźmi byli, lecz duchem miljonów, żeście tysiące harf złamali, tysiące fletów o zrąb zwątpienia rozbili, jednym was czynię Feniksem!

Imię wasze: Rzymu zaguba, imię wasze — Czterdzieści i cztery, imię wasze — Król — Duch!

A wcielenie wasze niech będzie Piłsudski!!!

Niech go cierpienie na wyżyny Ducha wiedzie, niech mu katorga trudów przygrywką będzie, niech kruszy i tworzy!

Niech Polski pobudką będzie Brygada!

O, bracia moi! — Brygadę mi grajcie! — Te cztery orły nad jego trumną są martwe! Te kiry nic duszy mej nie mówią! Te słowa: Aby królom był równy: frazesem i pustką! Rok mija — ni dzwonów nie słyszę, ni werbli ogłuchłych! W tej trumnie — proch! w Wawelu katedrze — nicość! Zygmunta nie słyszę!

Pisane zostały słowa — lecz to tylko — strzępy... Ja strzępów nie chcę: niech huragan wieje, niech dęby wyrywa — niebiosom dam sępy — polecą, polecą...

Prezentuj broń! — Niech szlify nie świecą! Tu głowę kłoń: pochodnie się niecą!

Salwicę pal! — nic z tego: jam głuchy!

Ten jeden dźwięk chcę słyszeć — ostatni, ten jeden ton — hymn drogi, hymn bratni! O, Wodzu nasz — łez zagaś kaskadę!

Brygadę grajcie, brygadę, brygadę!...

Jerzy Kłosowski.

Jerzy Kłosowski.

Przebacz mi, Panie!

Brzoza litewska nademną płakała,
Kiedy, dziecięciem, kochałem pożary!
Fala mię Niemna do snu kołysała
W baśnie i czary...
Że baśnią moją — sybirskie zesłanie —
Przebacz mi, Panie!

Batóg nademną wisiał uczytiela,
Gdym słowo polskie na ustach rozniecił!
Ból mię przenikał, Głód mię rozweselał
Nędzą stuleci!...
Żem me, z Ojczyzną, przeklinał rozstanie —
Przebacz mi, Panie!

Kiedy w bezmiernej, śnieżystej przestrzeni
Wznosiłem ręce do Bogarodzicy —
Orzeł Zwycięstwa zajaśniał wśród cieni,
Blask bił z ziemicy!
Żem gromy słyszał, miast duchów śpiewanie
Przebacz mi, Panie!

Żem sercem wzruszył rozdartem miljony —
Żem Mocą dążył, gdzie Stwórca sam sięga,
Że dla mnie dogmat: Słup Rozpromieniony
Ducha potęga —
Żem krwią Ojczyzny oblał zmartwychwstanie
Przebacz mi, Panie!

Za to, żem garstkę - w bój szaleńców rzucił,
Zapomniał liczby, miłością wiedziony,
Żem matek, sierót, żon krocie zasmucił
Polską szalony —
Za to, żem mieczem swe świadczył błaganie
Przebacz mi, Panie!

Z przeszłości Miasta Nowego Sącza

Miasto Nowy Sącz posiadało w dawnych czasach wiele pięknych i monumentalnych budowli, wybudowanych z kamienia i cegły w stylu ostrołukowym i odrodzenia.

Miasto otoczone było wkoło obronnym murem, wysokim do 6 metrów, między którego ścianami było wybudowanych dwanaście groźnych baszt i jedna wieża od strony północnej. W górnych częściach baszt były umieszczone armaty, których lufy wychodziły przez strzelnice baszt na zewnątrz, świadcząc zawsze o gotowości obronnej miasta. W górnych częściach murów obronnych znajdowały się również strzelnice.

W krótkich słowach opiszę, zachowane po dziś dawne zabytki naszej architektury, świadczące o pomysłowości polskiego budowniczego oraz o wysiłku i wytrwałości polskiego robotnika, który w pocie czoła od świtu do nocy pracował dla dobra miasta i dla potęgi Ojczyzny.

Najstarszym zabytkiem w mieście jest Zamek Królewski wybudowany około roku 1360 przez króla Kazimierza Wielkiego, w północno-zachodniej części miasta, na urwistem wzgórzu, w widłach rzek Dunajca i Kamienicy.

Główny budynek zamku był piękną jednopiętrową budowlą, w stylu ostrołukowym o wysokiej attyce, zbudowanej w kolano pod kątem prostym, na północno zachodniej stronie wzgórza. Zamek sam stanowił silną fortecę. W zachodnim narożniku zamku była wybudowana silna baszta, którą w roku 1813 podmulił wezbrany Dunajec i pochłonął w swych nurtach. W północnej ścianie zamku jest zachowana po dziś, wieża zamkowa, która obecnie jest znacznie obniżona. Północna część zamku jest zakończona murem fortecznym, między którego ścianami znajduje się, po dziś zachowana baszta Kowalska, od której biegły mury w kierunku północno-wschodnim, wzmocnione od części wschodniej basztą „Wschodnią", w której znajdowała się brama wjazdowa wraz z mostem zwodzonym. Fundamenta nieznanej dotąd baszty odsłonięto w 1932 roku, które obecnie znajdują się między południowo-zachodnim narożnikiem budynku Miejskiej Bibljoteki, a narożnikiem przyległego domu od strony południowej. Dalej podwójne mury obronne zamku ciągnęły się od baszty „Wschodniej" w kierunku południowym, kończące się basztę „Południową" z bramą do komunikacji z miastem. Od baszty „Południowej" ciągnęły się blanki forteczne w kierunku zachodnim i łączyły się z zachodnią częścią zamku. W zamku tym przebywali królowie polscy przyjeżdżający do miasta. Przenoszę się myślą w życie i dzieje miasta i zamku w pierwszych latach XV wieku.

Widzę warowny gród na skalistem wzgórzu, w ostatnich blaskach ginącego słońca. Snopy drżących złotych promieni padają na pola i lasy, pieszczotliwie całują wieżyce kościołów, łamiąc się w oknach domów i dostojną purpurą przyodziewają zamek. O skaliste zbocza zamkowej góry rozbijają się rwące wody Dunajca i pędzą w nieznany świat. O zaginionych w morzu falach opowiadają świerki i brzozy nad rzeką, o dawnej przeszłości opowie ci każdy kamień z zamkowego muru i wiatr łkający w ruinach, tylko posłuchaj głosu pogrzebanych wieków. Wnet cały zamek zaludni się, rozdźwięczy głosami przeszłości i opowie ci bajkę, legendę czy prawdę..

Po dziennym trudzie miasto gotuje się do spoczynku. Strażnicy miejscy podnoszą zwodzone mosty, zamykają bramy i z halabardami w rękach pozostają na straży. W wieży zamkowej rycerz zakuty w żelazną zbroję bystro wypatruje na wszystkie strony. Przy basztach zamkowych słychać miarowe kroki i chrzęst zbroi rycerzy pełniących straż na zamku.

Wtem rycerz z zamkowej wieży spostrzega w północnej stronie, na drodze wiodącej od Zabełcza długi zbrojny orszak.

Trąbi na alarm.

Sygnał podchwytuje strażnik miejski i dmie w róg bawoli. Miasto, rozmarzone w słodkim śnie, budzi się i powraca do życia. Błyskają okna domów światłami, a ludzie z pochodniami i łuczywem wybiegają pod bramę Krakowską.

W dali w bladych smugach księżyca, widać na drodze zbrojny rycerski orszak, a wprawne ucho może dosłyszeć tętent koni. Jadących wyprzedza rycerz na spienionym koniu i podjeżdżając pod bramę Krakowską woła „Najmiłościwszy pan nasz i król, Władysław przyjeżdża do Was, otwierajcie bramę" — Spuszczają most zwodzony. Na powitanie króla biją z armat na zamku i we wszystkie dzwony. Wychodzi: wójt, ławnicy, rajcy, mieszczanie i duchowieństwo. Na ognisistym rumaku jedzie król Władysław. Ubrany jest w lekki srebrny pancerz podróżny, przypasany na purpurowy kaftan adamaszkowy przybrany złotem, spodnie szerokie skórzane, buty wysokie o długich szpicach. Przy boku miecz. Na ramionach ma przewieszoną delję z drogich sobolowych futer, spiętą złotym łańcuszkiem pod szyją. Na głowie czapka skórzana.

Obok króla z prawej strony jechał na białym, opancerzonym koniu rycerz ubrany w srebrną zbroję, bogato ozdobioną złotem. Był to Zyndram z Maszkowic spod Łącka, pan ziemi sądeckiej, dowódca wojsk królewskich. Za nimi jechał młody rycerz, ubrany w piękną zbroję, był to Zbigniew Oleśnicki, późniejszy biskup krakowski i kardynał. Za orszakiem królewskim wjeżdżają rycerze, ubrani w drogą zbroję. Do bram zbiegło się całe mieszczaństwo. Króla powitał wójt w gorących słowach, za które król serdecznie podziękował. Król z orszakiem swym wjeżdża na zamek i w komnatach jego się rozgaszcza. Do kominków marmurowych dokładają łuczywa i zapalają świece. Rycerze zajęli budynki gospodarskie zamku od strony południowej. Król po spożyciu wieczerzy udał się na spoczynek. Nazajutrz w kolegjacie odbywa się uroczyste nabożeństwo na pomyślność króla. Po południu na dziedzińcu odbywają się turnieje rycerskie. Cztery pary rycerzy nacierało na siebie. Zwycięzcy rycerze zostają obdarowani przez króla. Na dziedzińcu zamkowym ustawiono stoły, suto nakryte wszelakiem mięsiwem na srebrnych misach. W srebrnych dzbanach i kubkach podawano miód. Na zabawę zostali zaproszeni przedniejsi mieszczanie i wznosząc toasty na pomyślność króla. Bawiono się wesoło do północy. Cały zamek był rzęsiście oświetlony. Na dziedzińcu palono pochodnie i ogniska. Król przebył kilka miesięcy w Nowym Sączu. Tu na zamku królewskim ułożył król razem z Zyndramem z Maszkowic, plan bitwy z krzyżakami.

Jest to jeden obraz z przeszłości naszego miasta i zamku, który nam w słabych zarysach przedstawia świetność naszego grodu. W kilka lat później od roku 1469—1470 przebywali na zamku synowie Kazimierza Jagiellończyka pod opieką i kierownictwem ks. Jana Długosza, oraz słynnego humanisty włoskiego Filipa Buonacorsi, zwanego Kallimachem. Ochoczo zabawiali się na dziedzińcu zamkowym królewicze: piętnastoletni Władysław, dziesięcioletni Aleksander i młodszy Jan Olbracht. Jeden tylko dwunastoletni Kazimierz stronił od zabaw i cały czas przepędzał na modlitwie i nauce. Prawie dwa lata mieszkał on w tych murach i oddychał górskiem powietrzem. Z zamku wychodził święty Kazimierz do pobliskiego kościoła O O. Norbertanów, dziś kościoła O. O. Jezuitów modlił się żarliwie o błogosławieństwo dla Ojczyzny. Wiele jeszcze pięknych wydarzeń i opowiadań możnaby przytoczyć, które nasuwają się nam na myśl pod wpływem rozmyślań o przeszłości. Zamek spalił się zupełnie w 1611 roku. Odbudowali go starostowie grodowi nowosądeccy Stanisław i Sebastjan Lubomirscy, ale już w stylu odrodzenia.

Spalony znów zamek przez konfederatów barskich został odrestaurowany w 1784 roku przez rząd ustrjacki. Z dawnego pięknego zamku pozostała część północna z wieżą szlachecką od północy i częścią muru fortecznego z basztą Kowalską, zakończoną piękną attyką renesansową. Część południowa baszty Kowalskiej i murów fortecznych została odsłonięta w ubiegłym roku i odrestaurowana dzięki staraniom prezydenta miasta Mgr. Stanisł. Nowakowskiego i Komitetu Odbudowy zamku. Fragment baszty Kowalskiej z częściami muru fortecznego, od strony południowej jest przedstawiony w drzeworycie. W salach zamku mieści się Muzeum Ziemi Sądeckiej, które posiada wiele pięknych i cennych eksponatów etnograficznych, sztuki kościelnej, historycznych i malarstwa współczesnego. Muzeum gromadzi i ratuje od zniszczenia ginące z dnia na dzień, zabytki sztuki polskiej, aby je przekazać potomności, jako widome pomniki naszej dawnej sławy, świetności i bogactwa.

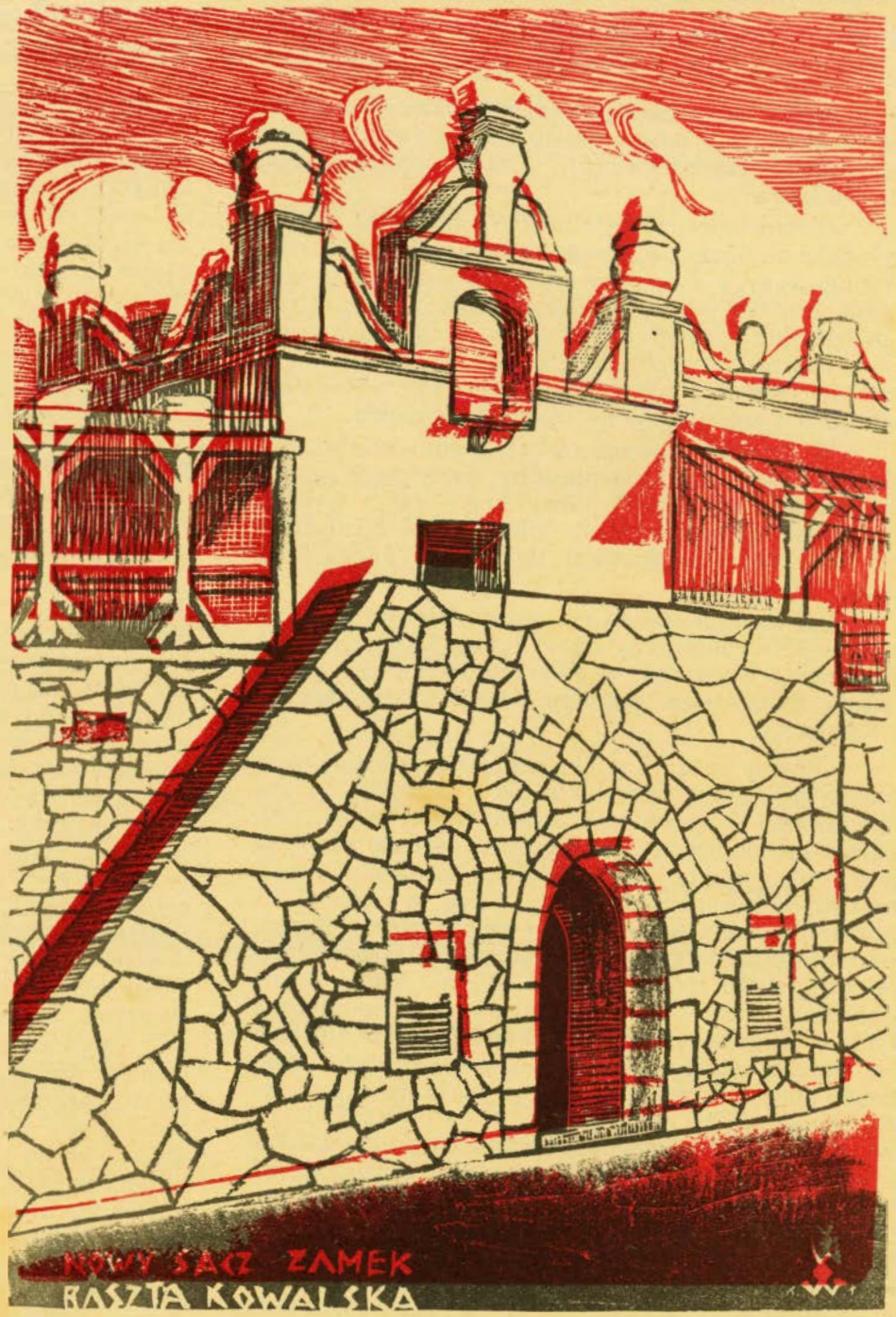

Muzeum jest, najpraktyczniejszym i najprzystępniejszym czynnikiem w szerzeniu oświaty i wiedzy o własnej sztuce.

Nasze Muzeum Ziemi Sądeckiej jest typu regjonalnego, gromadzi więc zabytki z terenu Ziemi sądeckiej i Podhala.

W Muzeum naszem dopiero zobaczymy i poznamy piękno naszych zabytków, które mają odrębne i charakterystyczne cechy regionalne. Zobaczymy stroje ludowe, jedne z najpiękniejszych w Polsce z okolic Podegrodzia, Gostwicy, Łącka i Piwnicznej. Na pięknych kaftanach, katankach i gorsetach będziemy podziwiać malowniczo wyszyte ręką artystki wiejskiej różnobarwne kwiaty, które jej dusza, przerzuciła, z przyrody na strój i obramowała różnemi swojskiemi ozdobami nadając im odrębny charakter naszych okolic.

W dziale sztuki kościelnej zobaczymy nieocenionej wartości obrazy i rzeźby pochodzące aż od XV wieku, a Muzeum Ziemi Sądeckiej posiada około 400 takich zabytków.

Znajduje się tam też około 200 eksponatów naszej sądeckiej ceramiki barwne i pięknie glazurowane dzbany, garnki i misy.

Z braku miejsca nie mogę opisać szerzej ważniejszych działów naszego Muzeum.

Oficjalne otwarcie w Muzeum Ziemi Sądeckiej w jesieni b. r. będzie świętem całego Podhala, gdyż będzie ono posiadać żywy pomnik naszej kultury.

C. d. n.

Władysława Szkaradkówna, VII. Gimn. S.S. Niep.

Wywiad z Kuratorem S. K. S. „BESKID“

P. Dyr. Bolesławem Redlichem.

Witam p. redaktora — temi słowy przyjął mnie w swej kancelarji w Gimnazjum I mój rozmówca, z którym miałem przeprowadzić wywiad „sportowy“ do naszego czasopisma.

Zaproszony, usiadłem na jednym z nowoczesnych foteli, wypełniających b. miło urządzone wnętrze kancelarji zakładu. Po kilku chwilach rozmowy na tematy ogólniejsze, przystąpiłem ad rem, zadając na wstępie pytanie:

— Co miało na celu Min. W. R. i O. P. w chwili założenia klubów szkolnych?

... okazało się, że młodzieży szkolnej nie wystarcza ta suma wrażeń i wyżycia sportowego, jaką jej dostarczają lekcje gimnastyki i praca w kółkach sportowych, zwykle „anemicznie“ rozwijających swą działalność. Te dwie dziedziny wyżycia się sportowego młodzieży nie dostarczały jej prawie zupełnie pierwiastków emocjonalnych współzawodnictwa takiego, jakie posiada sport „starszego“ społeczeństwa. Ten brak emocji sportowej w ramach życia szkolnego powodował przykre skutki uciekania młodzieży nazewnątrz zakładu, do rozmaitych klubów sportowych. Dobrze, jeśli się to działo w mieście mniejszem, to jeszcze można było łatwiej dociec gdzie, jaki uczeń, pod zmienionem zwykle nazwiskiem, grywa. Ale w miastach większych sprawdzenie tego było prawie wykluczonem...

— No, ale gdybyśmy uczniom pozwolili grywać w tych klubach, czy nie byłoby to najlepszem rozwiązaniem problemu, oczywiście w klubach odpowiednio postawionych?

— ... Otóż to właśnie, że nie wszystkie kluby dostarczają swym graczom dostatecznej opieki moralnej i fizycznej. Wynikiem tego była częstokroć ruina zdrowia moralnego i fizycznego ucznia, który w 20 roku życia był już często człowiekiem „wykończonym“ o pozrywanych nogach, zepsutem sercu i rozszerzonych płucach. Drugą bolączką tego stanu rzeczy był fakt, że tacy uczniowie — sportowcy (klubowcy) znajdowali zwykle poparcie wysokich dygnitarzy sportowych, którzy swą osobą osłaniali nieraz ucznia przed grożącemi mu konsekwencjami w gimnazjum. Fakt ten oddziaływał destrukcyjnie na pozostałych uczniów, łamiąc poczucie dyscypliny zakładowej. Dlatego też Min. W. R. i O. P. zleciło Kuratorjum szkol. okręgu krakowskiego mandat wyeksperymentowania tego zagadnienia zapomocą 5 klubów szkolnych, założonych na terenie kuratorjum...

— A czy w innych Kuratorjach utworzono też takie kluby?

— Nie, tylko w Kuratorjum krakowskiem, tytułem próby podkreślam.

— A w jakich miastach zostały założone te kluby?

— W Kielcach, w Krakowie, w Nowym Sączu, w Sosnowcu i w Tarnowie.

— Jakie wskazania powzięły sobie te kluby w swej pracy sportowej?

— ... Chodzi im przedewszystkiem o wytworzenie zdrowej atmosfery sportowej w „młodszem“ społeczeństwie, stanowiącem niejako przednią straż sportu polskiego. Obecna częstokroć niezdrowa i destrukcyjna dla zawodników atmosfera w klubach może być w przyszłości, oczyszczoną przez wprowadzenie do zwapnionych arteryj życia sportowego świeżego zapasu zdrowej krwi w postaci inteligentnego elementu sportowego, opuszczającego mury szkolne, a wychowanego już odpowiednio w swych szkolnych klubach...

— A jak się przedstawia sama organizacja klubu, a zwłaszcza jego stosunek do istniejących dotąd kółek sportowych?

— Istnienie klubu szkolnego wcale nie przekreśla działalności kółek sportowych, które w dalszej ewolucji są przewidziane, jako „przedszkola“ sportowe, służące do eliminacji co lepszych zawodników do klubu szkolnego, który będzie niejako ukoronowaniem marzeń sportowych młodych uczniów — sportsmenów... dowodem, jak wielką wagę przywiązuje Kuratorjum do tego zagadnienia jest fakt, że kuratora, zastępcę i członka opieki mianuje samo Kuratorjum. (Kuratorem S. K. S. „Beskid“ jest p. dyr. B. Redlich, zast. kuratora p. prof. Hanula i członkiem opieki p. prof. W. Kozieł. Przypisek red.) ... następnie fakt udzielenia pomocy finansowej klubom. S. K. S. „Beskid“ otrzymał w tym roku 550 zł. do swej dyspozycji z Kuratorjum. Preliminarz zaś budżetowy, wyznaczony na rok przyszły, wyniesie sumę 2.000 złotych, przewidzianych wydatków. Moim własnym zamiarem jest nakłonić poszczególne zakłady średnie do wstawienia odpowiednich pozycyj w budżetach szkolnych na rzecz klubu. Zresztą, zdaniem mojem, nawet pewne trudności finansowe, z któremi się może spotka młodzież nie są pozbawione wartości wychowawczych, gdyż uczą samodzielności w ciężkich sytuacjach finansowych — samodzielności, tak potrzebnej w późniejszem życiu sportowem.

— A czy Pan Kurator obrał sobie jakąś wytyczną w swej pracy na terenie klubu?

— Oczywiście... uwzględniając przedewszystkiem wszystkie wymogi klubu, dążyć będę do zerwania z tradycją „gwiazd“ sportowych, tych „primadonn“ nieznośnych, które zawsze mają jakieś pretensje do klubu i zawsze mają rację, jako najlepsi sportowcy, jako skończeni fachowcy sportowi...

... Raczej chodzić mi będzie o wytworzenie zdrowego typu sportowca, ceniącego się odpowiednio, ale nie zarozumiałego, takiego sportowca — dżentelmena, którego tak silny brak daje się odczuwać na boiskach całej Polski.

— A jak się Pan Kurator zapatruje na kwestję przyszłości klubu szkolnego?

— ... zastanawiałem się nieraz nad tem, co się stanie z tymi zawodnikami, którzy, przywiązawszy się do barw swego klubu szkolnego, z trudem będą się z nim rozstawać i jako naturalną konsekwencję przewiduję utworzenie klubów „byłych szkolnych“, jako nadbudowy obecnych klubów, oczywiście z uwzględnieniem odpływu dużego procentu do rozmaitych klubów celem podniesienia poziomu zwłaszcza kulturalnego tychże.

Nie wykluczam również dalszej ewolucji w postaci należenia kiedyś szkolnych klubów do związków sportowych „poważnych“.

— A czy na tle dotychczasowej działalności nasunęły się już Panu Kuratorowi jakie spostrzeżenia?

— ... z przyjemnością stwierdziłem, że powstanie międzyszkolnego klubu usunęło w zupełności szowinizmy międzyzakładowe, tak bujnie dotąd rozwinięte. Z drugiej jednakże strony zauważyłem przykry u młodzieży pociąg prześlizgiwania się na zawody bez biletu, czyli do t. z. pospolicie „gapy". Jest to bardzo przykry objaw... Niech młodzież żąda dla siebie jaknajniższych wstępów, ale niech je uiszcza, gdyż w przeciwnym razie godzi w najżywotniejsze interesy klubu.

Zwłaszcza młodzi uczniowie powinni takich rzeczy unikać, zdając sobie sprawę, że za kilka lat oni będą takimi samymi organizatorami i sami będą musieli walczyć z trudnościami finansowemi i plagą „gapiarstwa". Nie mówię tu już o tem, że uprawianie „gapy" jest przecież ujmę przynoszącem mundurkowi szkolnemu, równając uczniów z niekarnemi i niewychowanemi elementami w społeczeństwie...

— A czemu Pan Kurator przypisze tak słabą stosunkowo frekwencję zawodów sportowych ze strony publiczności sądeckiej?

— Wina leży, zdaniem mojem, w złej organizacji zawodów zwłaszcza co do punktualności (z zasady nie dotrzymywanej) i małej atrakcyjności zawodów [poza piłkarskimi), płynącej z nieumiejętnie pod względem emocjonalnym złożonego programu zawodów. Poszczególne konkurencje powinny następować jedna po drugiej i odpowiednio być przeplatane, by widzom dostarczyć stałej i równomiernej emocji. Zwykle jednakże u nas dzieje się odwrotnie tak, że trzeba naprawdę sportowej duszy, by się nie znudziła tą bieganiną za chorągiewkami, za stoperami, za taśmą, malowaniem linji, w ostatniej chwili dokonywanem...

... jedną z bolączek i to najważniejszych życia sportowego w N. Sączu jest brak stadjonu sportowego. Jakkolwiek bowiem „Sandecja" posiada całkiem przyzwoity stadjon, to jednakże położenie jego na peryferjach miasta odwodzi wielu widzów od udania się tam, by ujrzeć zawody.

Podziwiać, a zarazem litować się należy nad takiemi klubami, jak „Strzelec", „Rezerwiści", „Beskid" i „Makkabi", które pozbawione boisk, skazane są na używanie nierównego i nieoparkanionego boiska na „Jordanówce".

— A czy nie widzi Pan, Panie Kuratorze, jakiegoś środka zapobiegawczego w tej przykrej sytuacji?

— ... zwróciłbym się z apelem do Miejskiego Komitetu P. W. i W. F. Dajcie młodzieży odpowiednio urządzone boisko! Ustosunkujcie się przychylnie do wszystkich poczynań młodzieży, starając się spieszyć jej z pomocą w akcji eksperymentalno-sportowej. Rozwój bowiem klubu szkolnego winien specjalnie leżeć na sercu Miejsk. Kom. P. W. i W. F., gdyż wprowadza on sport polski na nowe, kiedyś może rewelacyjnie pożyteczne, tory; dlatego też tutejszy Miejski Kom. P. W. i W. F. winien czuć się częściowo odpowiedzialnym za wynik eksperymentu i poczuć się w specjalnej roli posłannictwa sportowego, jaką posiada tylko kilka miast w Polsce. Komitet i ogół społeczeństwa winien dobrze zrozumieć, że od tego w jakich warunkach i w jakiej atmosferze wychowamy młodzież zależeć będzie jej przyszła postawa fizyczna i moralna w życiu...

...pozostaje nam tylko życzyć sobie, by przyszłość niezawiodła naszych jasnych nadzieji promiennego jutra sportowego Polski — zakończył z uśmiechem mój rozmówca.

Jeszcze kilka chwil rozmowy, utrzymanej w tonie swobodnej pogawędki i podziękowawszy rozmówcy za wywiad opuściłem mury Gimnazjum I.

Wywiad przeprowadził naczelny Redaktor, Stefan Siwirski.

Poważne trudności

Nie ulega wątpliwości, że w dobie dzisiejszego kryzysu gospodarczego najbardziej piekącą kwestją jest rozwiązanie problemu bezrobocia.

Obok zarejestrowanych około pół miljona bezrobotnych mamy w Polsce prawdopodobnie jeszcze drugie tyle, o ile nie więcej, bezrobotnych nie zarejestrowanych, nie licząc nadmiaru, czyli tak zwanej „zbędnej ludności", która przez większą część roku nie ma pracy.

Zlikwidowanie, przez co rozumiemy danie pracy tym wszystkim bezrobotnym, rzecz prosta przechodzi możliwości rządu.

Mimo wszystko z danych gospodarczych ostatnich trzech miesięcy widzimy, że kwestję tę próbują rozwiązać czynniki miarodajne w sposób dużo obiecujący.

Zastraszającym objawem była dotąd stale zmniejszająca się konsumcja. Konsumcja polskiego chłopa zmniejszyła się bowiem w porównaniu z rokiem 1932 o 52 proc. Podobnie przedstawia się ta kwestja w odniesieniu do miast. W ostatnim czasie w związku z przednówkiem wsi, sprawa ta uległa jeszcze bardziej obostrzeniu.

Jasnem jest, że zwiększenie konsumcji wzmogłoby wytworczość, a co zatem idzie popyt na ludzkie ręce do pracy.

Do tego jednak wzmożenia niezbędny jest kapitał. Powiększenie jednak ilości pieniądza w obiegu wymaga albo spadku jego wartości, albo uruchomienia nowych źródeł.

Rząd polski idzie po linji wydobycia i wciągnięcia w obieg t. zw. kapitałów martwych zgromadzonych w ręku jednostek.

Wydobycie tych kapitałów pozwoliłoby na rozbudowę przemysłu, a co z tem związane, to praca dla wielu bezrobotnych. Pozatem liczyć się musimy z tem, że moglibyśmy pewne towary w znacznie większej ilości eksportować. W ostatnim kwartale eksport nasz zagranicę wzrósł znacznie, a obroty powiększyły się w stosunku do poprzedniego o 57 milj. złotych.

Godne do zauważenia jest to, że zaczynamy przywozić coraz mniej fabrykatów, co dowodzi, że przemysł nasz zaczyna dostatecznie pokrywać zapotrzebowanie. Również w ostatnich czasach otwiera się nam nowy rynek zbytu dla towarów galanteryjnych w Stanach Zj. A. P., a w związku z rewizytami i wizytami polsko-belgijskiemi rynek belgijski.

Zanim jednak przemysł polski rozrośnie się tak, żeby mógł zapotrzebować wszystkich bezrobotnych, rząd polski stara się przezwyciężyć bezrobocie drogą wzmożenia robót publicznych na większą skalę.

F. Kutaj kl. VII. Gimn. 369.

Skardze w hołdzie

Z okazji 400-set lecia urodzin księdza Piotra Skargi redakcja poświęca Jego Wielkiej postaci te parę słów.

Jeszcze dalekiem echem po szerokich terenach państwa moskiewskiego rozchodziły się odgłosy zwycięstw oręża polskiego — jeszcze na Kremlu gromkim głosem wydawał rozkazy hetman Żółkiewski — jeszcze pokotem u stóp rycerzy polskich kładły się głowy Turków i Tatarów, a już wewnątrz państwa polskiego można było wyczuć zarodki upadku. Zarodki z początku nikłe, rosły do coraz większych rozmiarów, ogarniały wszystkie dziedziny życia państwowego, toczyły organizm Rzeczypospolitej, jak złośliwe nowotwory, grożąc katastrofą straszliwą, upadkiem sławy, wielkości i potęgi — zanikały „dobre obyczaje" — psuł się ustrój państwowy toczyły się spory z królem ustępowały prywacie szlacheckiej sprawy publiczne — a nad wszystkiem górowała chęć spokojnego życia zdala od trudów spraw państwowych.

I oto w czasach tak ciężkich i niebezpiecznych zjawił się w Rzeczypospolitej rycerz bez skazy, apostoł niosący prawdę, obywatel, ratujący państwo przed zagładą. — Człowiek ten, to ksiądz Piotr Skarga, który gromkim głosem nawoływał ówczesny rządzący stan szlachecki do opamiętania, do zgody, do rachunku sumienia — jednem słowem — do ratowania przed zagładą Rzeczypospolitej — Potężna postać złotoustego kaznodzieji góruje nad ówczesną prywatą i zanikiem zmysłu politycznego; w jego kazaniach odzwierciedlają się same zwycięstwa rycerzy polskich, a zmysł proroczy przewiduje klęskę, jako rezultat tego fatalnego stanu.

Kiedy dzisiaj z odległości wieków na ową epokę patrzymy, nic dziwnego, że lepiej rozumiemy Skargę, niż zrozumieli go zaślepieni „złotą wolnością" współobywatele i bardziej jego zasługi poznajemy. Bo chociaż nie słuchano go, to przecież wytknął najważniejsze błędy i wady ustroju politycznego i społecznego Polski, a temsamem „otworzył" oczy współczesnym na bolesną rzeczywistość.

—o—

Rys ogólny sytuacji europejskiej

Gdy lat temu siedemnaście krwawa pożoga wojenna zaczęła zwolna przygasać, a na horyzoncie politycznym Europy ukazało się szereg traktatów pokojowych, normujących dotychczasową sytuację międzynarodową, nie wedle woli tronów i panujących, ale wedle granic etnograficznych, zdawało się współczesnym, że niebezpieczeństwo wojny zostało ostatecznie raz na zawsze zażegnane. — Traktat wersalski podpisany w dniu 28 czerwca 1919 r. przez Niemcy z jednej, a dwadzieścia siedem państw z drugiej strony, nakazywał im, jako napastnikowi zapłacenie olbrzymich reparacyj wojennych i zabraniał utrzymywania stałego wojska, (pozwalając jedynie na 100.000 Reichswehrę), oraz obsadzania wojskiem strefy granicznej z Francją w odległości 50 km.

Dla umocnienia traktatu wersalskiego podpisano w r. 1925 w szwajcarskiem mieście Locarno ponowny traktat, mocą którego Niemcy zobowiązują się załatwiać wszelkie kwestje międzynarodowe powstałe pomiędzy niemi, a państwami: Francją, Belgją, Polską i Czechosłowacją, nie drogą militarną, ale pokojową. Jako ręczyciele tego traktatu wystąpiły Anglja i Włochy t. zn., że w razie zerwania go przez jedną ze stron miałyby one wystąpić zbrojnie przeciwko napastnikowi.

Drugi niemniej ważny traktat pokojowy, zawarty pomiędzy państwami Koalicji, a częścią monarchji austro-węgierskiej, t. j. Rzeczypospolitą Austrjacką w St. Germain 10 października 1919 r. ograniczał siłę zbrojną Austrji do t. zw. Heimwehry czyli obrony krajowej, eliminując równocześnie powszechny obowiązek służby wojskowej.

Trzeci wreszcie traktat pokojowy, zawarty między Turcją a Koalicją w Sevres 10 sierpnia 1919 postanawiał demilitaryzację cieśniny Dardanelskiej, stanowiącej ważny punkt strategiczny, specjalnie dla Anglji, jako jedyne połączenie z morzem Czarnem.

Ten stan prawny, odpowiadający ówczesnemu układowi sił uległ w zupełności zmianie.

Niemcy po wojnie światowej, zmieniając formę swego ustroju politycznego, przeobraziły się wreszcie w państwo skrajnie totalne. Stojący na czele państwa kanclerz Adolf Hitler przywódca N. S. D. A. P. obejmując władkę w r. 1933 zapowiedział, że nie ścierpi warunków, któremi zostały Niemcy związane w Wersalu, ale wszelkiemi siłami dążył będzie do równouprawnienia Niemiec. Za słowami poszły czyny. I tak dnia 16 marca 1935 ogłosił kanclerz Hitler jednostronnie, że uznaje rozdział traktatu wersalskiego, w którym zabroniono Niemcom utrzymywania siły zbrojnej: a mianowicie powszechnego obowiązku służby wojskowej, lotnictwa wojskowego i ciężkiej artylerji, za bezskuteczny, a zarazem wprowadził powszechny obowiązek służby wojskowej w całych Niemczech z tem, że armja niemiecka składa się z 36 dywizyj. Francja i Anglja mimo protestów nie zdołały się skutecznie przeciwstawić temu jednostronnemu zerwaniu traktatu wersalskiego.

Mimo to formalnie obowiązywał jeszcze wszystkich sygnatarjuszy traktat locarneński, a Niemcy nie obsadziły wtedy zdemilitaryzowanej strefy nadreńskiej tak, że zobowiązania Niemiec co do nieobsadzenia tej strefy faktycznie były nadal wykonywane. Z wiosną 1936 w dniu 7 marca Niemcy, wykorzystując sytuację, wytworzoną przez wojnę w Afryce, a mianowicie zaangażowanie się Włoch, jednego z gwarantów traktatu locarneńskiego, w wojnie z Abisynją, oraz Anglji, która wprawdzie w tej wojnie udziału nie bierze, ale której interesy kolonjalne i imperjalistyczne są przez tę wojnę bezpośrednio zagrożone, a zatem mając przeciw sobie ze zachodnich dużych sąsiadów tylko Francję, wypowiadają jednostronnie traktat locarneński i obsadzają jednocześnie zdemilitaryzowaną strefę nadreńską. I w tym wypadku protest państw zachodnich okazał się bezskutecznym tak, że ostatecznie z gwarancji militarnych, któremi Francja asekurowała się przeciw Niemcom, nic więcej nie obowiązuje, bo nawet Wielka Brytanja i Italja, jako gwaranci paktu locarneńskiego nie zajęły stanowiska zdecydowanie po stronie Francji.

A teraz dalej, Austrja, jak wiadomo, w ślad za Niemcami wprowadziła również powszechny obowiązek służby wojskowej, nazywając go eufemistycznie powszechnym obowiązkiem służby dla państwa.

W końcu Turcja ma obsadzić cieśninę Dardanelską, choć w traktacie w Sevres wyraźnie zastrzeżono jej demilitaryzację.

Jakkolwiek więc traktat wersalski odpowiadał ówczesnemu układowi sił europejskich, to jednak skostniały w swych paragrafach, dał się wyprzedzić historji na co wskazują ostatnie wypadki i stał się martwą literą. Każdy bowiem traktat tylko wtedy faktycznie obowiązuje, jeżeli można go militarnie bezwzględnie wyegzekwować, czego o Francji obecnie powiedzieć nie można.

Nie koniec na tem, Niemcy domagają się kolonji, nie wyrzekając się również przyłączenia Austrji t. zn. Anschlussu.

Pertraktacje pomiędzy państwami ujawniają rozbieżność interesów między temi państwami, które w wielkiej wojnie światowej występowały pod wspólną nazwą Ententy, bo podczas gdy Francji zależy na własnem bezpieczeństwie, to Anglja lawiruje w ten sposób, iż wysuwa Niemcy przeciw Francji i chce ją zmusić do sekundowania po swej stronie w jej rozgrywce przeciw Włochom, zaś Włochom nie zależy na stosunku Francji do Niemiec, lecz tylko na utrzymaniu swej hegemonji w Europie środkowej tj. w Austrji i Węgrzech.

Tak mniej więcej z grubsza przedstawiają się interesy i gra polityczna Europy, z czego jest oczywistem, że stosunek sił, jaki istniał przy zakończeniu wojny światowej, zmienił się w zupełności. I tak: 1) Niemcy, które zostały w r. 1919. w zupełności rozbite i ubezwładnione zdołały w ciągu lat 17 ponownie odbudować swoją potęgę militarną i odzyskały dziś przedwojenne znaczenie. 2) Włochy, które były między t. zw. zachodniemi mocarstwami najsłabszem państwem urosły dziś w olbrzymią potęgę na morzu i lądzie i mają odwagę przeciwstawiać się żądaniom Anglji, wbrew długoletniej tradycji polityki włoskiej. 3) Anglja nie dozbroiła sią na czas, flota jej nie odpowiada najnowszym wymaganiom techniki, a wypadki na

dalekim wschodzie osłabiają wagę żądań Anglji w Europie. W końcu w koncercie europejskim biorą udział Sowiety, które w r. 1919. żadnym zgoła subjektem polityki europejskiej nie były.

Ta gra nowych sił odbywa się właśnie i nikt nie może przewidzieć w jakiej formie, z jakim skutkiem i kiedy się zakończy.

Karol Birn VII a Gimn. 368.

Godło Ha. De. S.

I tak też się zdarza...

W panieńskim pokoju podniesiona stora, pozwalała księżycowi zaglądnąć do wnętrza. Dwa białe, rozesłane łóżka napróżno oczekiwały swych właścicielek.

Książki, porozrzucane po półkach ostremi konturami odbijały od jasnego tła ściany. Wskazówki zegara stanęły pod kątem prostym, wskazując trzy kwadranse na dwunastą. Drzwi uchyliły się do pokoju wpadła szeroka smuga światła. W smudze tej stanęła dziewczyna cała srebrna, od dużych loków okalających subtelny owal twarzy aż do mieniących się pantofelków. Za nią, trochę w cieniu, zdecydowanym krokiem weszła druga siostra, zapewne tak bardzo niepodobna, jak to tylko jest możliwem. Wysokie czoło, duże oczy z wyrazem cichego smutku, mniejwięcej regularne rysy. Na jej twarzy, widniała z trudem tłumiona przykrość i znużenie.

Za kilka minut leżały już obydwie cicho. Jeszcze krótką chwilę mącił ciszę szept modlitwy, ale i ten wnet umilkł. Księżyc pieścił rozrzucone w nieładzie włosy Magdy bojąc, się zakłócać spokoju jasnowłosej, która i jemu potrafiła nakazać szacunek dla swej wygody.

Lili śniła...

Zabawa, taniec, cichy szept, który bezskutecznie próbował zgłuszyć stukot serc. I znów taniec... wyrzuty ze strony „tego idjoty“ Stacha rozżaliły ją na całe otoczenie, szczególnie zaś to najbliższe. Zanim jednak poddała się złemu nastrojowi, oswobodził ją inny danser. I znów, wir, senna omdlałość, cichy szept hołdu.

Magda też śniła o zabawie. Duszna sala pełna obcych twarzy. Tańczył z nią jakiś młodzian ze znudzoną miną, jakby z łaski. A potem prośba o kilka słów, zaciekawienie, kurcz ściska serce, podchodzi do gardła, wydobywa się wypiekami na twarz. Lustrujące spojrzenie — błędy są, no oczywiście, ale dla niej i tego za dużo. Czy kiedyś będzie inaczej?

...Wyszli na taras, on niezręcznie, z zmieszaniem, zaczyna: Wprawdzie nie znamy się długo, ale znam panią i tak z opowiadań kolegów i wiem, że odznacza się pani obok niezwykłej wprost inteligencji, bardzo dobrym sercem. Magda myśli, co za oryginalny wstęp, i słucha dalej z uprzejmą miną. Słowa padają jednostajnie i obco, brzmią, jak monotonnie wygłaszany, referat na temat np. sztucznych nawozów; w marzeniu wyglądało to o wiele ładniej, — ale nie — Ona się chyba przesłyszała. „Czy nie mogłaby pani oddać tej kartki Lili?“

Z poza dachu komory wschodziło słońce. Cały świat tonął w bladoróżowej pomroce, mgły zwolna zaczęły opadać.

* * *

W wielkim teatrze było pełno. Występ ulubionej artystki, zgromadził wszystkie osobistości tak zwanego high — life'u. Sztuka już dawno się rozpoczęła, gdy na salę weszła dr. Magda Drecka, jedna z najzdolniejszych sił lekarskich. Towarzyszył jej młody sekretarz ambasady, o którym w cichości marzyły piękne panie i któremu wróżono karjerę dyplomatyczną. Na scenie wygłaszała artystka popisowy monolog swej roli, napisanej specjalnie dla niej przez słynnego dramaturga. Swoim wdziękiem zdążyła już podbić nietylko dyrektora teatru, jednego z najmłodszych, najprzystojniejszych i najbogatszych zarazem mężczyzn Lwowa, ale dzięki niemu wkradła się i do serc publiczności. — Jeszcze nie przebrzmiały ostatnie słowa, gdy zerwała się burza oklasków. Zatrzęsła całym teatrem, ba, nawet wielki kryształowy żyrandol skłonił z gracją swą głowę błyszczącą łysiną. Publiczność zaczęła wychodzić.

Magda z towarzyszem, wyszli także. Spotkali się przed kilkoma miesiącami po długich latach niewidzenia. Zerwana nić przyjaźni, zaufania, zawiązała się na nowo. Znów razem snuli plany, reformowali świat, zwierzali się sobie z triumfów i niepowodzeń; brakło tylko między nimi złotej główki, wspólnie ukochanej dziewczyny — dziecka.

I teraz rozmawiali o czemś z przejęciem, gdy nagle przystąpił do nich kolega Magdy. Magda z miejsca napadła na niego; różnili się w poglądach na świeżo odkryty znieczulający środek, umożliwiający najtrudniejsze operacje. Radecki żywił do niego nieuzasadnione uprzedzenie. Wszczęli fachową dyskusję, która najwidoczniej nudziła Stacha; korzystając z chwilowej przerwy, zaproponował przejście do garderoby (artystki, którą była Lili, przyjaciółka Magdy) studencka sympatja Stacha. W garderobie panował artystyczny nieład. Olbrzymie lustro z małym stoliczkiem zastawionym szminkami i pudrem, niska kanapa, stojąca lampa i duży kosz białych róż stanowiły urządzenie pokoju. Lili z wypiekami na twarzy przyjmowała równocześnie trzech krytyków, pięciu wielbicieli, koleżankę z dawnych lat, którą pierwszy raz w życiu ujrzała, utalentowanego fryzjera, pana Bolesława i wszechwiedzącą garderobianę. Gdy przyszli do niej, bohaterskim wysiłkiem odprawiła tych wszystkich natrętów, aby pozostać tylko z przyjaciółmi. Magda z Radeckim stanęła pod oknem. Czarna suknia Magdy ostro odbijała, od jasnego tła ściany.

Jeszcze chwilę usiłowali brać udział w rozmowie, ale już nie zadługo znowu powrócili, do wszczętej dyskusji. Radecki, spoglądając z góry na Magdę przekonywał ją flegmatycznie. Magda zapalała się, wreszcie ucichli i jeszcze tylko od czasu do czasu jakiś naukowy termin padał na środek pokoju, niewiadomo w czyją stronę skierowany opadał na dywan,

wreszcie zadziwiony obcością otoczenia, kładł się pokornie między kwiatami.

Stach tymczasem pytał Lilę o stosunki i wrażenia. Jego spokojny timbre głosu działał jakoś na podrażnione nerwy aktorki, wreszcie wybuchła — cieszy cię moje powodzenie, czy wiesz, że to praca, że to przymus nieznośny, że być modną to trudniej niż zapracowaną urzędniczką i być człowiekiem jak każdy inny. Czy wiesz, że za chwilę wątpliwego triumfu trzeba płacić miesiącami pracy i upokorzeń. Temu krytykowi trzeba coś miłego powiedzieć, z tym mam być naiwną, z tym przewrotną, z innym jeszcze flirtować. Nad wzburzonym potokiem skarg, zagórował spokojny, głęboki głos Stacha — masz za to hołdy uwielbienia, za któremi tak — bardzo tęskniłaś. — Czy ty wiesz co to znaczy życie bez celu, czy ty wiesz kto nas wielbi? przeżyci idjoci. (Stach pomyślał nie bez sentymentu: to powiedzonko zostało jej z dawnych czasów) niedoważeni studenci, podtatusiali panowie i ot co... Głos jej załamał się boleśnie, opadł o oktawę niżej. Stach ujął wypieszczone rączki, które tak bardzo zachwycały go w studenckich czasach. — Maleńka, cóż z tym twoim adoratorem Rawickim, przecież ten nie jest ani „idjotą", ani niedoważonym, ani podtatusiałym. Masz sposobność uzyskania w życiu swem, celu. —

Ale mnie się on całkiem nie podoba jest brutalny, zazdrosny, traktuje mnie jak zabawkę, obrazi mnie jakąś bezpodstawną sceną zazdrości i zamiast przeprosić — zasypuje mnie wprost białemi różami, a na myśl mu nie wpadnie, że to za mało za brutalność. Nie Stachu, całkiem nie jestem szczęśliwą, widzisz na nic czasu nie mam. Teraz np. chciałabym sobie zkimś tak szczerze porozmawiać, a tu nic ztego.

Wiesz Liluś powiem Ci coś.

Słucham — poprawiła fałd sukienki, usiadła głębiej na kanapie. Światło padało na nią z góry, odbijało się w jej włosach, rzucając na drobną twarzyczkę złotawe refleksy. Stach ciągnie dalej. Wiesz już zapewne, że zdołałem sobie zdobyć stanowisko, poważanie, nieźle mi się dzieje, ale widzisz Liluś, tęsknię za kobietą; nie za piękną, nie za bogatą, ale za taką moją, znaną, kochaną i kochającą, te wszystkie tutejsze są mi obce, rozkapryszone dziwaczne, okrutne. Podniósł Jej rękę do ust. —

Myślę o dawnych czasach i widzisz, jednak... Lili zrobiła błyskawiczny przegląd sytuacji. Młody, przystojny z pewną karjerą człowiek, kto wie czy to nie odpowiedniejsze niż Rawicki? — Stach popatrzył w stronę okna. Sam doniedawna nie wiedziałem czego chcę, ale w sobotę, pamiętasz może — Lili myślała intenzywnie, w sobotę... kłótnia z reżyserem, spóźniła się na próbę, krawcowa poprawiała suknię, kolacja u Georg'a... nie mogła sobie przypomnieć.

No oczywiście, że pamiętam. Z pod wpół przymkniętych powiek. rzuciła mu spojrzenie, na usta opadła mgiełka zadumy.

W sobotę właśnie zrozumiałem, czego chcę. Dziś Liluś, w imię dawnej przyjaźni; proszę Cię — podniósł Jej rękę do ust i złożył przeciągły pocałunek. Ty jedna dopomożesz do przekonania o mojej miłości Magdy, musisz Jej powiedzieć, że jest dla mnie wszystkiem. Słowa mu więzły w krtani mówił coś jeszcze, lecz Lili nie słyszała. Kosz róż zawirował Jej przed oczyma, w tanecznych lansadach posunął się do lampy, ta położyła wyniosłą głowę na podłodze, ale dywan gdzieś zaczął uciekać w dół i Lili też zaczęła się zapadać.

Magda popatrzyła właśnie na ulicę, żeby ukryć uśmieszek zadowolenia, (nakoniec udało się jej przekonać Radeckiego).

Do garderoby wniósł boy teatralny naręcze białych róż. —

Za kilka miesięcy w rubryce „osobiste" ukazało się zawiadomienie o ślubie dwóch serdecznych przyjaciółek, znanej lekarki z sekretarzem ambasady i jednej z najzdolniejszych artystek z młodym przemysłowcem. Śluby te były wielkiem „evenement" karnawału.

15-lecie powstania górnośląskiego

Wydawałoby się na pierwszy rzut oka, że po roku 1918 tj. po owym cudnym roku odzyskania bytu niepodległego przez odrodzoną Polskę — skończyła się raz na zawsze ta bohaterska, niestety u nas historycznie zawsze nieudała walka, którą nazywamy powstaniem. Tymczasem mimo jasnego słońca wolności, które nam zabłysło w listopadzie 1918 roku i ogólnego porywu twórczego konsolidacyjnego trzech byłych zaborów, pracujących energicznie i w bardzo ciężkich warunkach nad zjednoczeniem i zmontowaniem młodej państwowości polskiej, przychodzi nam historycznie zanotować ostatnie już może powstańcze narodowe walki. A to powstanie to nie kto inny tylko szczerze polski lud górnośląski podniósł w latach 1919, 1920 i 1921 przeciwko przemocy niemieckiej, która oparta o niestałą, a mocno niejasną, ba może nawet perfidną politykę państw zwycięskich, starała się pod swymi wpływami zachować nadal rdzennie polskie ziemie. W roku bieżącym w dniach, z 2 na 3 maja mija właśnie lat 15 od chwili kiedy żywiołowe trzecie powstanie górnośląskie zadecydowało o względnej sprawiedliwości dziejowej! Nic stąd dziwnego, że dzień ten i jego piętnastoletnią rocznicę czcić musimy gorąco, tembardziej, że jako moment wybuchu wybrano właśnie ten sławny historycznie dzień 3 maja, który już przed stukilkudziesięciu laty był pomyślanym, jako początek moralnego i duchowego odrodzenia Polski.

Rok 1918 był dla nas rokiem ciężkim. Po czterech latach światowych, gigantycznych zmagań stanęliśmy przed wolnością, wyniszczeni, znużeni i niezasobni. Trzeba było zakasać rękawy i zabrać się do pracy ciężkiej od podstaw od zaczątków. Tymczasem wraz z wolnością padł na nas wielki trud polityczny; na wschodzie walka z Rusinami, walka o Śląsk Cieszyński, Spiż i Orawę z wiarołomnymi Czechami, walka z Niemcami o Poznańskie a wkońcu wojna polsko-bolszewicka. Trud był rzeczywiście, jak na młode państwo nadmiernym. Koalicja starała się oczywiście łagodzić spory i interwenjować, ale i w samej koalicji wyłoniły się dwa kierunki: jeden francuski przychylny Polsce i wrogi Niemcom, drugi angielsko-

włoski progermański. Stąd sprawa górnośląska, tak bardzo ważna dla Polski nie przedstawiała się w roku 1919 zbyt szczęśliwie, w dodatku, zaatakowani ze wszech stron orężnie, nie mogliśmy należycie rozwinąć akcji dyplomatycznej i musieliśmy się zgodzić na narzucony nam plebiscyt na Górnym Śląsku.

Plebiscyt w dniu 11 lipca 1920 roku w Prusach wschodnich wypadł dla nas katastrofalnie. No i nic dziwnego, był to bowiem moment naszych najcięższych zmagań z Rosją bolszewicką. Plebiscyt górnośląski, przygotowany od roku 1919 wywołał już w tym samym roku, a potem w 1920 roku dwukrotny odruch polskiej ludności Górnego Śląska, która, doprowadzona do rozpaczy bezczelną akcją bojówek niemieckich, dwakroć zerwała się do boju powstańczego. Dzięki wysiłkom koalicji uspokoiła się jednak, czekając na wynik plebiscytu. Plebiscyt z dnia 20 marca 1921 roku przyniósł 707 tysięcy głosów Niemcom, 479 tysięcy Polsce, przyczem jednak Niemcy, dzięki poparciu Anglji zwieźli około 200 tysięcy emigrantów. Komisja koalicyjna, szczególnie wobec nacisku Anglji i Włoch wystąpiła z propozycją oddania Niemcom całego Górnego Śląska, z wyjątkiem dwu najuboższych powiatów: rybnickiego i pszczyńskiego.

Wtedy w nocy z dnia 2 na 3 maja wybuchło trzecie powstanie górnośląskie, które tak żywiołowo rozprzestrzeniło się i tak skuteczny opór Niemcom stawiło, że niepyszna Komisja koalicyjna cofnęła swą decyzję, oddając sprawę w rozstrzygnięcie Rady Ligi Narodów, która decyzją z dnia 12 października 1921 roku przyznała Polsce część Górnego Śląska z miljonem ludności i przeważną częścią bogactw górniczo przemysłowych (76 procent węgla, 79 procent rudy żelaznej, wszystkie huty ołowiu, cynku i t. p.)

W ten sposób szczerze narodowy odruch powstańczy polskich Górnoślązaków uratował z rąk niemieckich, dla polskiej Macierzy wielkie połacie rdzennie polskiej ziemi, dlatego też rocznicę tę czcimy całem gorącem sercem, pełni wdzięczności dla naszych patrjotycznych górnośląskich górników i rolników.

Musimy jednak czuwać, gdyż Niemcy niezadowoleni z tego podziału, myślą ustawicznie o zagarnięciu spowrotem Śląska pod swoje panowanie.

KAZIMIERZ DŹWIGNIEWSKI
kl. VIa. gim. II.

Zew Gór a On

Poniżej umieszczamy artykuł Miecka Cholewy znanego gawędziarza i pieśniarza sądeckiego, który razem z Wickiem Pyrdołem z Zarzecza — mistrzem kobzy, gęśli i fujarki, występują we wszystkich rozgłośniach Polskiego Radja, propagując muzykę, pieśni, gwarę, „godki" podhalańskie z nieśmiertelnym „zbójnickim". (Red.)

Młodzieży Podhalańska, zgrupowana w organie „Zwie Gór", słuszne twe twierdzenie, że — „Zew Gór" to młode Podhale, bo zadanie, Wam powierzone, jest wypełnione.

Sam zewnętrzny wygląd okładki już dużo mówi. Mocarny człowiek głosi potężnym głosem — zew gór, roznieca watrę miłości Podhala.

Wewnątrz — słowa proste, lecz szumne, czuć w nich duszę podhalańską, bije w nich serce, a echo tych uderzeń rozbrzmiewa w dal, niosąc głosy wielkich postaci naszych jak Orkana, Sabały, Powstańców Chochołowskich i tych, co sercem swem umiłowali więcej Podhale od innych i duszą są ściśle z nami, jak On, nieśmiertelny Kasprowicz, głoszący, że „dla olbrzymów te szczyty, a dla karłów poziomy!

Widać ich, jak uśmiechają się u bram niebieskich, widząc „Zew Gór" i realizowaną w nim ideę: WIEŚ i DLA WSI. Nadszedł swój miesiąc radości, lecz niestety nie dla nas Polaków, którzy w tym miesiącu obchodzimy dwie smutne rocznice.

O tej pierwszej nie będę wspominał, bo tkwi ona głęboko w sercu każdego Polaka. Wspomnę tylko o tej drugiej. Jest to wspomnienie śmierci W. Orkana. Oddaliśmy pokłon wielkim postaciom Podhala jak ks. Kmietowiczowi i org. Andruśkiewiczowi, i innym, którzy za czasów zaborczych dążyli ku ślebodzie. A teraz oddajmy hołd największemu Synowi Podhala.

Rozkochał On naszą ziemię. Przelał swą miłość w poszum smreków jedli, sośnin i roztok i pokazał ją światu w twardej rzeczywistości, a inni piękno tej ziemi odkryli.

Nieśmiertelna moc bije z jego wspomnień. Sześć lat dopiero, gdy muzyki podhalańskie układały go do wiecznego spoczynku.

Pomarł, odszedł od nas, ale tylko ciałem. Duchem żyje i żyć będzie w naszych sercach. Pozostawił nam ów testament. Jest on częściowo przez Was, Młodzieży Podhalańska, w Zwie Gór wypełniany. A jesteście z nim związani bo dla młodzieży całe życie pracował i młodzież kochał nad życie. W MŁÓDŹ TYLKO WIERZYŁ! I nie omylił się. Zew Gór to w części jego myśl.

Wspomnijmy jeszcze tę smutną postać, uwijającą się wśród podgorcowych wsi dla dobra wspólnego, dla dobra Podhala, jako całości. Już za życia snuła się legenda koło tej postaci, mocarnej, jako niedźwiedź, lub orzeł skalny, bolejący nad ziemią płonną i ludem w skałę owies siejącym.

Bolał i z boleści wielkiej pomarł! — A szkoda, bo ziemia nasza byłaby ponad wszystkie i byłaby jeszcze większą skarbnicą dla Rzeczpospolitej.

Zwie Gór, czyli MŁODZIEŻY PODHALAŃSKA, w Tobie i na Tobie spoczywają wielkie zadania dla Podhala.

ZWIE GÓR — z Ciebie może być ożywcze źródło dla młodzieży podhalańskiej.

To też trzymajmy się razem i mocno dzierżmy nasz sztandar powtarzajmy wciąż WIEŚ i pracujmy uparcie i wytrwale dla WSI i wszystko dla Wsi bo w niej SKARBNICA NASZEJ POLSKOŚCI i KULTURA W NIEJ NASZA.

Niech radują się serca sędziwych a wielkich miłośników wsi, którym Bóg pozwolił patrzeć na nasze czyny. Niech widzi Rząd nasz, że już w tak młodych sercach pragniemy pracować ku chwale naszej Ojczyzny.

Miecek Cholewa

Helena Barbącka, kl. III. gimn. 449.

Serce góralki

W pogodne, niedzielne popołudnie, cała, wysoko w górach położona, wioska odpoczywa. Wszyscy odświętnie ubrani, wracają z nieszporów, spacerują po drodze odbijając barwnemi strojami od zieleni lasów i łąk. Nad tem wszystkiem, z góry, z pod lasów rozbrzmiewają zawodzące melodje juhaskich piosenek, odbijają się o lasy, pagórki i lecą aż do Tatr...

Usłyszała te piosenki Róża Orawcowa, kiedy zapinała swe ciemne warl ocze, siedząc na ganeczku oplecionym dzikiem winem i chmielem. Dziś ją wszystko cieszyło, zaczęła więc nucić jakąś wesołą skoczną melodję. W tej chwili wyszła ze swego pokoju na wysce, ich letniczka, pani Nowacka, więc Róża zapytała, która godzina. — „Ej! już telo godzin! — zawołała i wybiegła prędko z ogrodu. Biegnie prędko, aż furkotają wstążki ubrania, które budzi taki zachwyt u tych gości z miasta. Bo też jest się czem zachwycać! Śnieżno biała koszula z drobniutko haftowanemi rękawami i krezą, czerwony gorset w srebrno — złote z zielonemi liśćmi dziewięciornice, z pod krezy wyłaniające się sznurki czerwonych korali, szeroka kwiaciasta spodnica, a na niej wielka kokarda, taka jak u korali, na ramiona zarzucona duża barwna chustka.

Całość mieni się wszystkiemi kolorami, żadnego tam nie brak. Stara kantorka, siedząca na progu swej chaty z Orawculą, matką Róży, ucieszyła się na jej widok, bo właśnie chciała o nią zapytać.

— Róża! kaz tak lecis? Rety! Nogi pogubis! — zawołała do biegnącej dziewczyny.

— A kazbyk dzisiej leciała! Na Jędrkową polane! usłyszały tylko stare gaździny i Róża pobiegła dalej w oblany potokami zachodzącego słońca przysiółek. Kantorka, choć paliła ją ciekawość, zapytała Orawculę, jak mogła najobojętniej. — Co to godajom o Rózy, ze kanyść jedzie? Bo tyzta świarnom dziwke macie! Orawcula rada, że się może pochwalić córką odparła też całkiem obojętnie — Je, cość im sie uwidziało, te pani co do nos na lato przijechała. — No gwarzciez, Bierom jom do miasta? — I matka Róży zaczęła opowiadać, jak ta ich letniczka zachwycała się koszulą haftowaną przez Różę. — I jak nie zacznie gwarzić jakom to ona ma wielgą hafciarnie, i kielo w niej hafciarek, ale zadna, gada, tak nie umie jako nasa Róża. I jak nie zacnie gwarzić, cobyk jej Róże wysłała tamoj, do nie, do miasta. Ja spocątku nie fciałak ani sliseć, ale kiej uwióze jak sie dziwce jaz ślepie jarzom, coby sie precke przejechać, w świecie obyrtnąć, seleniejakie cuda ponoglądać, tak jej pedom: ha, jako telo fces, to jedz! No i juz jutro jadom.

Minąwszy stare gaździny, Róża pobiegła dalej. Nagle zwolniła, drogą od przysiółka Buńdów, szedł młody parobek, Wojtek Buńda Pawlikowski. Szedł powoli, z dumnie podniesioną głową, wiatr wywijał czerwoną wstążką, związaną u białej cuhy. Ujrzawszy Różę przystanął, dotknął kapelusza.

— Róża! Ja cie tak pieknie pytom, hebaj, se mnom na Jędrkową polanę! Bedziem syćka tańcowali, przydom grajkowie, nasi i cigany, zapalom ogień, watre wielgą, bedziem tańcować. Jako zbójniki. Pójdzies Róża?

— A nie wies kany idę! — zaśmiała się zapytana.

Nie wiem! Na Jędrkową polane? —

— No ba jakoz! — odpowiedziała wesoło i poszli razem w stronę lasu, w którym na polanie tańczono, grano, śpiewano. Gdy przyszli, do rozbawionej gromady, tańczył Ludwik Borowy z Maryną Błęcyną. Co chwilę podchodził do muzyki i śpiewał jakąś piosenkę, wesołą, z której śmiali się wszyscy, szczególniej letnicy, których tu było bardzo dużo; wszyscy chcieli widzieć, jak górale tańczą. Róża z Wojtkiem podeszli do miejsca gdzie tańczono, ciasno tam było, bo każdy chciał być blisko tańczących, „zwyrtać się“ gdy było można. Wreszcie Ludwik zaśpiewał „zieloną lipkę“ wyzwyrtał Marynę i odszedł na bok.

Wojtek prędko podbiegł do muzyki. „Drobnego“ rozkazał wrzucając pieniądze do basów. Zaśpiewał krótką piosenkę. Staszek Capac, poproszony przedtem przez Wojtka, podbiegł do Róży, skłonił się kapeluszem i wyzwyrtał ją w obie strony. Wojtek gwizdnął i zaczął tańczyć, jakby goniąc Różę. Ta ucieka, stawiając drobniusieńkie kroczki, czasem się obróci, zaklaska i znów ucieka prędko, coraz prędzej, aż dzwonią korale, fruwają wstążki, migają małe nogi w świecących od ozdób kierpcach. Wojtek stanął przed muzyką, śpiewając piosenkę. Staszek wyzwyrtał Różę i znów zaczęli tańczyć. Góralce aż się oczy świecą. To dopiero taniec! Patrzy Wojtkowi na nogi, uśmiecha się, klaszcze, to obraca znowu. Teraz on, zawrócił, więc ona za nim, prędko, lekko unosi się na palcach. A muzyka gra coraz prędzej. Róża zawraca, ucieka znowu, tylko migoce kolorowa spódnica. Wszyscy patrzą, letnicy powstawali z ławek, podeszli bliżej. Nie mogą się nadziwić, napatrzeć, jak Róża tańczy. A ona ucieka, wraca się w takt muzyki, coraz szybciej, szybciej... Nie widzi wkoło siebie nic, tylko swego tancerza, on tańczy teraz w miejscu, z pasją, błyskawicznemi ruchami uderza rękoma o stopy, nie przestając tańczyć. Ona podbiega i znów ucieka.. Słyszy, że się zachwycają, to jeszcze bardziej ją podnieca, obraca się teraz tak prędko, że całe otoczenie wydaje się jej rozmazane... Już widzi dokoła tylko jedną barwną plamę, nie rozpoznaje nic... Jeszcze jeden obrót, drugi, trzeci wtem... muzyka urwała. Wojtek już śpiewa „zieloną lipkę“. Róża żałowała, że już koniec, nie czuła narazie zmęczenia. Wojtek podbiegł do niej, wyzwyrtał ją w prawo w lewo, aż się jej w głowie kręciło.

Gdy skończyli, wszyscy letnicy otoczyli ich, wyrażając swój zachwyt. Góralki z zazdrością spoglądały na Różę, wiedziały, że teraz każdy chłopak, tylko z nią będzie chciał tańczyć. Tak też było, Róża do nocy nie przestała tańczyć, to z Staszkiem, z Jędrkiem od Parów, z Józkiem od Bachledów, z Jaśkiem Matyscarzem. Choć była zmęczona, nie próbowała nawet odmówić nikomu, bo wiedziała, że zarazby powiedzieli: to nie gorolka, ino jakisi ciuntok.

Ale gdy muzyka zagrała, zapominała o zmęczeniu. Wreszcie się mogła natańczyć ile chciała. Tak spędziła ostatni wieczór, przed odjazdem „w świat", którego tak się cieszyła.

— — — — — —

Minęło już kilka miesięcy od czasu gdy pani Nowacka przywiozła do swej hafciarni nową pracownicę, gdzieś zdaleka, aż z Podhala. Wszystkie jej towarzyszki, młode dziewczęta z miasta, długo nie mogły się przyzwyczaić do tej nowej koleżanki, chodzącej w barwnych wizyłkach, w kożuchu, używającej słów i zwrotów, których całkiem nie rozumiały, dziwiącej się wszystkiemu co zobaczyła. Lecz Róża była tak wesoła, że ją wreszcie bardzo polubiły. W każdą niedzielę idzie z którąś z nich, podziwiać cuda wielkiego miasta. W tę niedzielę tylko została w domu, zupełnie sama. Poszła więc do swego pokoiku, usiadła przy oknie. Jakiś dziwny smutek ją ogarnął, spojrzała na skrawek szarego nieba, na jego tle tylko kominy i dachy, żadnego żywego stworzenia, czasem tylko zakracze wrona i poleci w szarą dal...

Przypomniało się jej okienko swego pokoiku na wysce, las, łąka, góry, teraz tam pewno śnieg po pas, z dachu zwisają długie sople lodu, drzewa w lesie przybrały potworne kryształy pod zamarzniętą masą śniegu.

Wstała od okna, przypomniała sobie, że musi pochować ubrania. Wzrok jej padł na czerwony gorset leżący na dnie szafy, a do niego przypięty uschły bukiecik niebieskich kwiatków ten, który miała ostatniego wieczoru na Jędrkowej polanie. Wzięła go do ręki, w proch rozsypały się kruche niebieskie płatki... ostatnia pamiątka... kiedy ja je włożę — myślała, patrząc na swe barwne ubranie. Jakże marnie wyglądają przy niem miejskie suknie, które za wszystkie zarobione pieniądze kupowały jej towarzyszki, naśmiewając się z wiejskiego ubioru, jaki przedtem nosiła.

Ściemniło się już, gdy do sąsiedniego pokoju weszła siostra pani Nowackiej, włączyła radjo. Róża niczego nie słyszała, nagle drgnęła. Czy jej się wydaje. Czy śni? Góralska muzyka. Grają zbójnickiego marsza, krzesanego, polkę, drobnego, zwyrtanego. Stoi zapatrzona w dal, za okno, ale nie widzi szarego nieba, ani dachów, kominów. Wydaje się jej, że jest tam, u swoich. Widzi skały, las, pod lasem ogień, kilka zbójnickich postaci, takich, o jakich słyszała w starych powieściach. Tańczą, migają w świetle watry czerwone koszule, świecą złote ozdoby, błyszczą pasy, ciupagi... a oni tańczą, tańczą.. Grają krzesanego, aż same nogi rwą się do tańca. Teraz widzi, „Jędrkową polanę", śliczną, małą, zieloną, wśród wysokich smreków, tam, gdzie przeważnie odbywają się zabawy. Teraz zima, pewno niejedno wesele, niejedna zabawa tam będzie. Wydaje się jej, że jest tam w górach.

Muzyka przestała grać, Róża otwiera oczy, widzi znów szare niebo, na niem dachy, kominy. Łzy stoją jej w oczach. Poco ona uciekła z gór? Czemu? Przecież tu dłużej żyć nie może, ani dnia dłużej. Czem jej pieniądze, czem wszystko, tu, gdzie zamiast gór wysokie budynki, a na nich zamiast lasu kominy, anteny, druty. Choćby w największej biedzie, woli żyć tam, u siebie.

— — — — — —

Tego co się potem stało, Róża nie mogła sobie nigdy dobrze przypomnieć, dziwiło ją tylko skąd zdobyła się na tyle odwagi w tym nowym, obcym świecie.

Pani Nowacka wróciwszy do domu, nie zastała góralki, czekała godzinę. dwie, trzy, do późnej nocy. Rano wszedłszy do małego pokoiku, zastała w nim wszystkie rzeczy, oprócz góralskiego ubrania, znikło razem z właścicielką.

A ona, Róża Orawcówna, pnie się teraz w górę po wydeptanej wązkiej ścieżynie. Choć jest po nieprzespanej nocy, spędzonej w dusznym wagonie, nie czuje nic zmęczenia. Lśniącemi oczyma wpatruje się w srebrzyste szczyty Tatr, na przygarbione pod okiścią śniegu smreki i białe pola, skrzące się w promieniach zimowego słońca.

Zdaje się jej, że wszystko ją wita, a ona wie, że dopoki żyje nie opuści tych stron nigdy, za żadne skarby tego obcego, dalekiego świata.

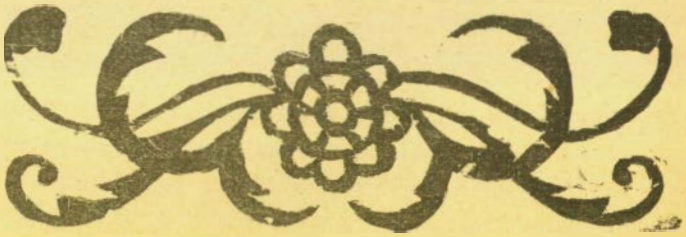

ZAMIEŚĆ PODWÓRKO

Od trzech numerów rozpoczął „Zew gór“ ukuwać na kowadle dyskusji o poezji żelazne jabłka niezgody. Polemika panów F. D. S. i Duby, krocząc pierwotnie po dość równych torach, przemieniła się w fascynujący spór. Z p. Dubą byłoby jeszcze pół biedy, ale F. D. S. (Filip Djoklecjan, Fryderyk Daniel S.? Coza S.? W katalogu klasy VIII sześć (słownie) nazwisk na S.) Ten F.D.S. jest zapewne anarchistą, a spór gotów skończyć się krwawo. Jeden drugiemu rzuci wizytówkę w twarz (czy macie?) i pojedynek. A ja będę arbitrem. Nie bójcie się: niedźwiedziej skóry napewno nie rozciągnę, ale pagórek do wsadzenia między moich pacjentów wynajdę. A, żeby było weselej, każę wylać wapnem metrowe wyrazy: Poezja.

Ten F.D.S., jak sądzę, jest bardzo nerwowym człowiekiem. Po odczytaniu artykułu polemicznego wypłomienił solidny artykuł, potępiając apodyktycznie nieszczęśliwego p. Dubę, który galwanizował swój artykuł klasyką rzymską (14 wyrażeń), grecką (6 wyrażeń), tudzież kilku zwrotami z filologji współczesnej. W rezultacie byłem zmuszony tłumaczyć tego ostatniego na język polski, poczem, po dwugodzinnych dociekaniach (6 stron notatek pokażę na żądanie) zdążyłem zrozumieć. Następny artykuł p. F. D. S, rozwiał zupełnie moje wątpliwości, równocześnie strącając w odmęty nowoczesnej poetyki: pisałem przez tydzień wiersze o ustępstwach i hipochondrji, tudzież porobiłem szereg uwag na marginesie Beniowskiego w rodzaju: Precz z tradycją! — Mógłbyś już przestać gadać, stary warjacie, o lutni, gdy masz w ręku katarynę! — Gdzie odpowiedniki słowne! — Deformować tradycje! Zanadto zrozumiałe! — Precz z konserwatyzmem! — Niech żyje Peiper! i t. p.

F. D. S. musi być mocno zmęczony. Biedak! — Dopiero taki wesół. — Już w depresji chce oddalić widmo polemiki. Peipera nie znam, ale musi być pewnie większy, niż Mickiewicz.

Wybaczcie mi, panowie recenzenci, ale... ośmielę się spytać, czy z Was który ośmielił się napisać jakiś wiersz? Dajcie odrobinę tej strawy duchowej spragnionym sercom doszczętnie obałamuconych poetów i kandydatów na poetów. Ja, jako ten ostatni, chciałbym zwłaszcza zobaczyć coś takiego, wszystkiemi kolorami tęczy nowoczesnej lśniącego, lub przynajmniej, najmniejszy choćby, instrument do koordynowania uczuć poetyckich.

Z tą poezją, to jest historja! Jak ktoś powiedział, jest to tworzenie pięknych zdań. Br! – coś takiego, jak umiejętne podzelowanie butów, oczywiście — piękne. Środkami mają być: gra słów w zdaniu, gra zdaniami na uczuciach. Ponadto, jak czytam, musi być i treść. Oczywiście.

Ale zasadniczą rolę gra rytm. Uzupełnia(?) treść i z tego powodu poeta musi być muzykiem. Pozatem linijki muszą zamykać obrazy (muzyczne?).

Z temi definicjami jest tragedja. Wobec tego, co przeczytałem, stanąć muszę, jak żona Lota, załamać ręce i powiedzieć: Posłali do chorego weterynarzy. Miał suchoty, leczyli go na nosaciznę.

Dość negatywów! Dajmy raz rzeczywisty pozytyw. Poezja to nie zdanie, stawiane rzędem liter na papierze, to coś żywego, co w nas powstaje przy współdziałaniu szeregu czynników, na więcej, niż ludzki ton nastrojonych: serca, woli, myśli; tworzyć wtenczas można, gdy, ni skrawka papieru w ręce nie mając, patrzymy na fiolety skał tatrzańskich. Mimowoli wstają myśli, oblekają się w słowa, czy głośno powiedziane, czy w duszy zatrzymane, słowa, płynące rytmem, skupiające się rymem ze sobą.

Poezja — to wytwór myśli i wyobraźni; wyobraźni poetyckiej, która instrumentem jest drżącostrunnym. Lada uraz — pracuje ten wspaniały dar Boży, łączą się myśli, wiąże je wspólny duch — rytm, oblekają się w ciało rymu.

Nie zgodzę się na pomysł poezji nowoczesnej przedewszystkiem wiersza — nuty, a nie wiersza — farby. Wyobraźnia pracuje paletą malarza, dłutem rzeźbiarza, rylcem snycerza, struną muzyka, sercem — poety. Tu uczucie gra rolę! W dramacie, w komedji, w liryce, w rapsodzie, w obrazku przyrody nawet widzimy zawsze zwierciadło duszy ludzkiej. Poezja ma za zadanie wspaniały ten twór zgłębić, twór ten otoczyć koroną gromów, smutkiem liści z drzew lecących, smutkiem, który, jako subjektywny wytwór, znajdzie odzwierciedlenie w ludzkiem nieszczęściu.

Tu nie zdania, lecz myśl, wydobywająca się z słów i dźwięków, brzęka w harfę uczuć. Przybieranie koncepcyj myślowych w formę — jest ordynarnem wierszoróbstwem. Naginanie myśli do rymów przesądza zgóry talent poetycki.

Młody poeto! Jeśliś nigdy nie miał chwili wzruszenia, kiedy myśli rozbijały ci czaszkę, kiedy obrazy przed oczy ci stawały, przelewały się i nikły, kiedy ołówek twój sam, rytmem prowadzony, w rymy się nie kładł — jeśliś nigdy takiej chwili nie miał — jeśli myśl twoja w ramy te nigdy samorzutnie się nie układa, o ile piękne są twoje obrazy — pisz prozą poetycką, o ile usiłujesz z trudem je wywołać, a one blade, gdy czujesz, że nie wiesz co w danym momencie masz pisać — zaprzestań pisania wierszy!

Jeśli estetyka wiersza polega tylko, jak zrozumiałem z artykułów, na odpowiednio cyzelowanej formie i skali myślowej — będzie ona pojęciem kosmopolitycznem o tyle, że pewne poziomy poezji odnosiły się będą do pewnych warstw czytelników. Na marginesie dodam, że trywjalne wyrażenia (np. rynsztok) muszą zawsze budzić niesmak, drąc tem samem tkaninę utworu.

Na zakończenie zapytam: czy ci ludzie, którzy pisząc, nie baczą na to, że ogół w najwęższym zakresie ich nie zrozumie, robią dobrze? Kontemplacja jest możliwa przy Królu — Duchu Słowackiego, przy „wierszach“ dziwnie rozrąbanych, poprzegradzanych przecinkami, gdzie wydaje się, że odstęp na papierze stanowi duszę utworu, gdzie językowe dziwactwa śmieszne wywołują uczucia, miast budzić muzykę, jest dzikiem żądaniem. Działanie dźwiękiem na ucho jest zdaniem mojem, czysto zwierzęcym, zmysłowym sposobem. Zresztą, mam wrażenie, że ci co piszą, czasami, gromadząc stek najdziwaczniejszych wyrażeń, nie wiedzą, co piszą.

JERZY KŁOSOWSKI.

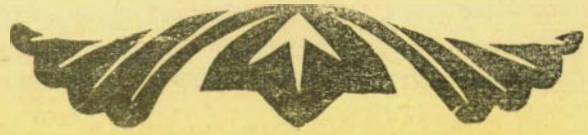

W hołdzie Sercu Wodza Narodu

„Jednem z najmilszych, jakie mam, jakiem przeżył, jest Wilno, jest miasto moje rodzinne...“ (Fragment z przemówienia Marszałka Józefa Piłsudskiego na Zjeździe Legjonistów w Wilnie w r. 1928).

Miasto w rzeczywistości miłe, pełne zieleni, z której wyniośle sterczą ku niebu wieżyce kościołów, pamiętające czasy świetności i potęgi Wilna, kiedy to Polską rządziła silna dłoń Jagiellonów, kiedy Stefan Batory zakładał Uniwersytet Wileński i kiedy już pod zaborami, co najbardziej godne chwały, młodzież wileńska zorganizowana w szeregi Towarzystwa Filomatów dzielnie stawiała opór najeźdźcy, z myślą jedynie o Polsce.

Miasto, w którem wykuwały się spiżowe charaktery ludzi o doniosłem znaczeniu w dziejach naszych, jak nasz wieszcz narodu Adam Mickiewicz, którego myśl od pierwszej młodości zajęta była ratowaniem Ojczyzny, jak wielu szermierzy wolności, którzy bezinteresownie polegli w walkach powstania listopadowego i styczniowego, jak wreszcie przed rokiem zmarły pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski, który godne swoich przodków zajął stanowisko i którego miłość do rodzinnego miasta tak dalece sięgała, że serce swoje, siedzibę najgorętszych uczuć swoich, postanowił złożyć mu w ofierze.

— — — — — —

Ostatnie życzenia Wodza zostało wypełnione. W rocznicę jego śmierci, dnia 12 maja 1936 r. zostały urządzone w Wilnie uroczystości złożenia Serca Marszałka i zwłok Jego matki do mauzoleum na Rossie.

— — — — — —

Tłumy ludzi, przekraczające liczbę 20.000 zjechały się do Wilna, chcąc oddać już po raz ostatni hołd ukochanemu Wodzowi. Młodzież szkolna również licznie była reprezentowana na uroczystościach. Delegacja I-go państwowego Gimnazjum z Nowego Sącza brała udział w uroczystościach, jako jedna z dwóch gimnazjów Kuratorjum krakowskiego.

W przeddzień właściwych uroczystości, dnia 11. maja po odbytem nabożeństwie w kościele św. Teresy, złożyły poczty sztandarowe młodzieży hołd poległym w walkach o Wilno w latach 1919—1920, których groby otaczają mauzoleum Marszałka na Rossie. Na kilka kilometrów długi sznur mundurków gimnazjalnych z rozwiniętemi sztandarami przesuwał się powoli w milczeniu przed grobami Powstańców, co jakiś czas składając wiązanki na ich groby. Wieczorem zaś zgromadziła się młodzież na placu Łukińskim, gdzie zostały odczytane nazwiska bohaterów przy głosie werbli i przy huku dział, ustawionych na górze Trzykrzyskiej. Późnym już wieczorem odbyła się akademja dla delegacyj szkolnych w Gimnazjum im. Orzeszkowej, podczas której zostały odczytane wyjątki z pism, mów i rozkazów Marszałka i chór odśpiewał Hymn i najukochańszą Marszałkowi pieśń legjonów „My pierwsza brygada“.

Właściwe uroczystości żałobne zaczęły się rano dnia 12. maja. W kolumnach z rozwiniętemi sztandarami zajęliśmy miejsce na górze naprzeciw mauzoleum i w milczeniu czekaliśmy na rozpoczęcie się uroczystości. Udział nasz ograniczał się w tej chwili do wysłuchania nabożeństwa nadawanego przez radjo z kościoła św. Teresy, w którym serce Marszałka spoczywało przez cały rok i do wysłuchania sprawozdania z konduktu pogrzebowego. Tymczasem po pod nami zaczęły się przesuwać oddziały wojska — pierwsza część całego pochodu. Przy odgłosie werbli defilowały oddziały piechoty przed sztandarami wszystkich pułków, przemknęła szalonym galopem kawalerja i z głośnym turkotem przejechały oddziały artylerji. Następnie zaczęły się w dali z zakrętu ulicy wysuwać dwa długie białe szeregi, to duchowieństwo katolickie poprzedzające właściwy kondukt. Wreszcie serce, niesione w lektyce, Marszałka i trumna Jego matki, wieziona na lawecie armatniej, zaprzężonej w sześć karych koni, na których siedzą oficerowie. Za trumną rodzina Marszałka, Pani Marszałkowa i dwie Jej córki, okryte ciężką żałobą. Dalej Pan Prezydent na czele rządu Rzeczypospolitej, generalicja, i t. d. Pani Marszałkowa i Jej córki weszły do mauzoleum. Lektykę ze sercem Marszałka ponieśli do grobowca delegaci ziemi wileńskiej, a tuż za nią generałowie ponieśli na barkach trumnę z prochami matki. Po krótkich modlitwach złożono trumnę do krypty Mauzoleum. Następnie Pani Marszałkowa zdjęła z lektyki urnę ze sercem i podała ją stojącej w głębi krypty córce. Urna została złożona u stóp trumny matki Marszałka. W chwili kiedy serce i trumna spoczęły już na swoich miejscach, dał się słyszeć głośny warkot zbliżających się samolotów. Cztery eskadry bojowe przemknęły nad naszemi głowami. Za chwilę już majaczyły, jako drobne punkty, gdzieś na horyzoncie. Wtedy rozległ się huk 101 wystrzałów z dział, ustawionych na górze Zamkowej. Orkiestra zagrała hymn, sztandary pochyliły się. Z tą chwilą nastąpiło globalne milczenie, które przerwał swoją mową Pan Prezydent.

W swoim przemówieniu przytaczał wyjątki z pism Marszałka, zwracając uwagę na miłość Jego do Matki Boskiej Ostrobramskiej, do Wilna, do swojej matki i zakończył słowami: „U stóp matki serce jej syna.“ Na tem zakończono obchód uroczystości żałobnych.

— — — — — —

Tak to Wilno żegnało swojego najukochańszego Syna. Wszystkie warunki złożyły się, żeby uroczystości wypadły jak najokazalej. Dzień pochmurny był świetną porą dla uroczystości, nastrój samego dnia, choć tchnący wiosną, jednak miał coś żałosnego, coś naprawdę bardzo poważnego. Panorama Wilna, rozległa potężna, dawała obraz tego, co Marszałek zrobił dla Polski. Wreszcie olbrzymie masy publiczności, z najodleglejszych ziem polskich, świadczyły o przywiązaniu, jakiem naród obdarzył swojego Wodza.

— — — — — —

Cześć Jego Pamięci!

Nasze życie

Hufiec Harcerzy stoi obecnie pod hasłem przy-owania do Trzyletniego Wyścigu Pracy. Trzyletni ścig ma za zadanie podniesienie wyrobienia ideo-go i technicznego drużyn harcerzy. Okres ten dzieli na trzy okresy roczne, stojące pod trzema hasłami: res pierwszy od 1. IX. 1935 do 1. IX. 1937 pod słem wycieczek. Na początku każdego roku wyścigu acy zgłasza drużynowy kierownikowi drużyn har-rskich plan zamierzeń. Od ilości wykonanych za-erzeń zależeć będzie kwalifikacja drużyny. Przed yścigiem zostaną zaliczone drużyny do trzech klas edle poziomu pracy z 1. IX. 1936.

W związku z wyścigiem zorganizował dh. phm. emi jednodniowe ćwiczenia polowe na terenie: od-nek między N. Sącz, St. Sącz. W ćwiczeniach wzięło dział 150 harcerzy.

Prócz tego odbyła się w ostatnich dniach od-prawa drużynowych okręgu Podhalańskiego w formie półtoradniowych harców. Komendantem odprawy był dh. hm. Wąsowicz.

Tworzy się tzw. Obwód harcerski. Jest to insty tucja, grupująca na terenie powiatu nowosądeckiego harcerzy, harcerki i Koła Przyjaciół Harcerstwa.

Powstały ostatnio dwie nowe drużyny: XI. im. Zawiszy Czarnego pod H. R. Jerzym Kłosowskim (kolejarze I. gimn.) tudzież XI. im. J. Słowackiego pod H. O. Jerzym Homą [Szkoła Handlowa) W XI drużynie tworzy się zastęp żeglarski.

Akcja obozowa zatoczy szerokie kręgi. Hufiec organizuje kurs dla zastępowych Okręgu Podhalańskiego pod dh. hm. Wąsowiczem. obozy: wędrowny zastęp Misiów II dr-ny pod Z. Wróblewskim, stałe: III i XI dr-ny pod S. Sromkiem, H. O. IX i X pod plm. Zielińskim E, IV i XII pod J. Homą, H. O. V i VI pod L. Kowalskim.

Praca drużyn stoi pod znakiem harców i wycieczek. W czerwcu zostaną zorganizowane biegi harcerskie w drużynach i bieg na stopień ćwika w Hufcu.

(kl.)

Proszę Druhów i Druhny o nadsyłanie artykułów do „Harcerskiej Doli". Najchętniej reportaże, feljetony i wiersze. Proszę również drużynowych o nadsyłanie komunikatów z prac drużyn. Komunikaty będą umieszczane w Naszem Życiu. KŁOSOWSKI.

W SPRAWIE EGZAMINÓW WSTĘPNYCH do GIMNAZJUM.

KOMUNIKAT

Na podstawie porozumienia Państw. Gimnazjum I. im. Jana Długosza i Państw. Gimnazjum II. im. Kr. Bol. Chrobrego w Nowym Sączu zawiadamia się, iż terminy zgłoszeń do egzaminu wstępnego są od DNIA 18 MAJA — 30 MAJA 1936 R.

Zgłoszenia do egzaminu dla OBYDWU GIMNAZJÓW przyjmuje Państwowe Gimnazjum I. im. J. Długosza w Nowym Sączu, ul. Długosza 5 CODZIENNIE od dnia 18 maja do 30 maja 1936 r. w godzinach: OD 11 — 12-ej.

Egzaminy wstępne odbędą się w obu gimnazjach, przyczem przydziału kandydatów do egzaminu wstępnego dokonują obydwie Dyrekcje gimnazjów, po porozumieniu się, a podstawą przydziału będzie dotychczasowe uczęszczanie do którejś ze szkół powszechnych, t. zn. zasadniczo absolwenci szkół powszechnych: im. A. Mickiewicza, J. Kochanowskiego i zamiejscowi zdawać będą w Państw. Gimnazjum I. im. J. Długosza, a absolwenci szkół: im. Kr. Wł. Jagiełły, St. Konarskiego i T. Kościuszki w Państw. Gim. II. im. Kr. Bol. Chrobrego. O ostatecznem przydzieleniu do egzaminu wstępnego poinformowaną zostanie opieka domowa drogą wywieszek w obu gimnazjach.

Zdawanie egzaminu wstępnego w jednym gimnazjum nie decyduje o tem, do którego gimnazjum egzaminowany zostanie przydzielony jako uczeń, dlatego też w podaniach zaznaczyć należy, w którem z gimnazjów rodzice chcieliby syna umieścić.

Do zgłoszenia należy przedłożyć: 1, zaświadczenie szkoły, w której kandydat do egzaminu obecnie pozostaje, stwierdzające przypuszczalne przejście do klasy następnej, 2, metrykę urodzin, 3, świadectwo powtórnego szczepienia ospy.

Taksa za egzamin wstępny wynosi 10 zł. płatnych czekiem przy zgłoszeniu się. Zgłoszenia do egzaminu wstępnego do kl. II przyjmuje Państw. Gim. II. im. Kr. Bol. Chrobrego, do kl. III. Państw. Gimn. I. im. J. Długosza w Nowym Sączu.

Bolesław Redlich, dyr. Gim. I. Dr. Jan Krupa, dyr. Gim. II.